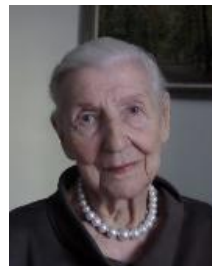


MARIA SZYDŁOWSKA

ur. 1921; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	projekt "Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów", dzieciństwo, rodzina i dom rodzinny, ulica Wieniawska, sąsiedzi, Żydzi

Sąsiedzi z Wieniawskiej 12

Pamiętam bardzo, od najmłodszych lat, rodzinę państwa Kipnisów. To była rodzina pochodzenia żydowskiego. Pani Kipnisowa była bliską sąsiadką mojej matki. Korzystając z tego, że matka świetnie władała językiem jidysz, bo się kiedyś nauczyła, ciągle z moją matką rozmawiała. Bardzo lubiła nas, dzieci, bo sama nie miała niestety dzieci. Mąż jej pracował u jakiegoś ślusarza, bo zawsze do domu przynosił tak zwane maszynki, „prymusy” do reperacji. Pani Kipnisowa bardzo często nas do siebie zabierała i częstowała pysznym ciastem. Do dzisiaj nie wiem co za ciasto, ale bardzo nam wtedy smakowało. Mieszkali po sąsiedzku z nami na dole. Myśmy mieszkali po prawej stronie bramy wyjściowej, a oni mieszkali z lewej strony domu. Rodzina państwa Kipnisów niestety w takich dramatycznych okolicznościach wyjechała do Związku Radzieckiego. Ja byłam wtedy może pięcioletnią dziewczynką. Pamiętam, że przed domem stała dorożka, na dorożce jakiś olbrzymi tobół, tak jakby zawinięty w koc. Przed dorożką stała moja matka, a pani Kipnisowa dosłownie wisała jej na szyi i strasznie szlochała. To było pożegnanie pani Kipnisowej z nami, bo z mężem wyjeżdżali do Związku Radzieckiego. Ale wtedy wyjeżdżając już wiedzieli, co ich tam czeka.

Na klatkę schodową tak zwaną frontową schodziło się z bramy w prawo. Na parterze z lewej strony było mieszkanie, do którego wchodziło się z bramy. Tam mieszkali państwo Warakomscy z trojgiem dzieci. A po drugiej stronie mieszkali państwo Twarowscy, którzy mieli czworo dzieci, zajmowali duże mieszkanie i te dzieci były dużo od nas starsze.

Pan Warakomski pracował, zdaje się, w rzeźni miejskiej. Przypuszczam, że był na jakimś kierowniczym stanowisku, dlatego, że mieli mieszkanie bardzo wygodne, trzypokojowe, z łazienką, z WC, była służąca prowadząca dom; było dość obszerne. I pani Warakomska była też zbliżona do mojej matki, bo tak się złożyło, że przez 15 lat

państwo Warakomscy nie mieli dzieci, a moja matka miała już duże dzieci, więc pani Warakomska ciągle mamę zatrzymywała i pytała o dzieci. Ale wreszcie pani Warakomska także urodziła pierwszą córkę, którą nazywałyśmy Lala, Lalka i potem dwóch synów i byli bardzo szczęśliwi. Ale w pewnym okresie, kiedy miasto Lublin w dzielnicy Dziesiąta sprzedawało działki pod budowę jednorodzinnych domków, państwo Warakomscy wybudowali sobie na Dziesiątej własny dom i wyprowadzili się z Wieniawskiej 12. Z żalem żegnałyśmy Warakomskich, bo to były bardzo miłe dzieci i miały piękne zabawki, które pani Warakomska pozwalała dzieciom na podwórko wynosić i pozwalała dzieciom też na podwórko nieraz wyjść. I bawiliśmy się wszyscy razem jako dzieci.

Pani Twarowska prowadziła kursy kroju i szycia. Pan Twarowski był inżynierem. Mieli dwie dorosłe już córki. I mieli syna później. A jeszcze potem jako czwarta córka była Henia, która była wiekiem zbliżona do nas dzieci i też często na podwórko wychodziła i brała udział w zabawach podwórkowych, które do dzisiejszego dnia z rozrzewnieniem wspominam.

Na pierwszym piętrze po lewej stronie mieszkała pani Arlitewiczowa, wdowa po dyrektorze gimnazjum w Lublinie. To była męska szkoła, nazywała się Szkoła Lubelska, ale potem chyba państwo przejęło i nazywała się Gimnazjum Męskie imienia Stefana Batorego. Ona była staruszcza. Miała dzieci bardzo dorosłe. Pochodziła z rodziny ziemiańskiej. Miała córkę, syna, do niej zjeżdżała rodzina z pobliskich majątków ziemskich. Tak żeśmy się przyglądały bryczkom i koniom, bo w ten sposób rodzina przyjeżdżała w odwiedziny do pani Arlitewiczowej.

Na drugim piętrze mieszkała pani Lekszycka, która miała dwóch synów i mamusię swoją. Pani Lekszycka była bardzo sympatyczną osobą. Miała tubalny głos, była wysoka, energiczna, bardzo często zaglądała do naszego ojca, bo ojciec był lubiany przez ludzi. Ojciec jadł śniadanie nieraz w pracowni, mama przynosiła mu to, co on lubił, a mianowicie białą kawę zbożową z mlekiem, a jako jedzenie olbrzymi placek tak zwany żydowski, cienki, po wierzchu posypyany makiem i kawałki cebulki były wgniecione do tego ciasta. Matka smarowała to grubo masłem i mój tata to jadł. Jak pani Lekszycka weszła i zobaczyła mojego ojca to mówiła: „O panie Skwarek, my takich śniadań drogich nie jadamy. My jadamy tylko czarny chleb na śniadanie”. Oczywiście to były chyba żarty. Była bardzo sympatyczna. W pewnym okresie przed wojną wyprowadziła się z synami, bo starszy syn był już w Warszawie wtedy, młodszy skończył szkołę lubelską i był pilotem. A po wojnie synowie zabrali ją do Kanady.

Nad panią Lekszycką mieszkało małżeństwo, które miało na nazwisko Liliental. Dozorca Andrzej mówił na nich Lelentaj, bo on nie mógł wypowiedzieć dokładnie tego imienia. Tych państwa w ogóle nie znaliśmy. Oni krótko mieszkali.

Na drugim piętrze mieszkał natomiast nasz starosta grodzki, czyli miejski, który nazywał się Budzki. To było bezdzietne małżeństwo. I on się wpisał w historię państwa Kipnisów i w to, że zostali zmuszeni do wyjazdu do Związku Radzieckiego.

A na trzecim piętrze mieszkała rodzina pana Magierskiego, który wybudował ten dom. Ale pan Magierski już nie żył. Żyła jego żona staruszka i żyła jego córka, panna Hania, dużo starsza od nas, i pan Stanisław, dużo starszy syn od nas. Stanisław prowadził po ojcu skład apteczny, bardzo znany w Lublinie, na rogu Staszica i Krakowskiego Przedmieścia.

Kamienica była trzypiętrowa, ale miała czwarte piętro. Tam były małe mieszkania. Kilka, dwa czy trzy. Pokój z kuchnią. I były dwa olbrzymie strychy, gdzie się suszyło bieliznę. [Na czwartym piętrze] początkowo mieszkała Halusia i Mirusia Gutkiewiczówny, moje koleżanki, z mamusią i z ojcem. Karol Gutkiewicz, ich ojciec, [który] był naczelnikiem poczty na Krakowskim Przedmieściu i pani Jadwiga Gutkiewiczowa, która niestety bardzo wcześnie zmarła. Osierociła całkiem małe Halusię i Mirusię. I one jakoś tak przyłgnęły do mnie i jak chodziły ze swoją niańką na spacer, [to] zawsze po mnie musiały wstąpić i ze mną chodzić wszędzie. Ciągle bywałam w ich domu i ciągle tam musiałam chodzić i bawiłyśmy się razem. Jako dziewczynki nie chodzące jeszcze do szkoły.

Potem cały dom został zakupiony przez Sejmik Lubelski i na parterze były biura Sejniku. Tam pracował pan Szczupaczyński, który był woźnym. Miał trzech synów: Wacława, Czesława i Kazimierza, który był w wieku mego brata Romana i stąd go znaleźmy. Świetnie się z nim bawiliśmy na podwórku jako dzieci. Ja mogłam mieć wtedy 6-7 lat. Także po wyjeździe pani Lekszyckiej do Warszawy [Sejmik zajął] także mieszkanie po pani Lekszyckiej. I tam było mieszkanie nawet kogoś, kto pracował w tym biurze, był jakimś tam szefem. Tak że trochę się potem już pozmieniało.

Państwo Twarowscy z lewej strony parteru przenieśli się na trzecie piętro, a właśnie biuro na dole powstało. Pani Twarowska w dalszym ciągu prowadziła kursy kroju i szycia. Pan, Twarowski pracował jako inżynier. Najstarsza córka wyszła za męża, druga wyszła za męża. Pozostał tylko syn, który kończył gimnazjum i Henia – najmłodsza córka, która chodziła do szkoły pani Arciszowej, żeńskiej średniej szkoły w Lublinie. To tak się zmieniło.

Do czasów wojny mieszkał także starosta, tylko nie pan Budzki, ktoś inny go zastąpił. I ten miał tragiczny koniec, bo po wkroczeniu Niemców 17 września w [19]39 roku do Lublina od razu aresztowali kilkudziesięciu zakładników. Wybrali, wiedzieli kogo. Wybrali właśnie starostę miejskiego, który mieszkał w naszym domu, jakiegoś profesora z Uniwersytetu Lubelskiego, bardzo znanego adwokata. To było zdaje się 24 osoby. No i 24 grudnia w [19]39 roku jeszcze, na Kalinowszczyźnie, na cmentarzu żydowskim wszyscy zostali przez Niemców rozstrzelani. To takie smutne wydarzenie spośród mieszkańców naszego domu.

Data i miejsce nagrania	2013-11-15, Warszawa
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Aleksandra Bańkowska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"